

PRZEDMOWA

Bardzo serdecznie dziękuję za zaproszenie na symposium *Humanistyka z widokiem na Uniwersytet*, ale jeszcze goręcej dziękuję za temat tego spotkania, który jest bardzo ważny i znakomicie wpisuje się w aktualną sytuację polskiego uniwersytetu. W ostatnich latach dyskusje na temat humanistyki dotyczą zazwyczaj tego, co określa się mianem „kryzysu humanistyki” i z dużą satysfakcją przyjąłem fakt, że dzisiejsze symposium nie zamierza wpisywać się w ten nurt, gdyż Państwo w ów kryzys nie do końca wierzą – osobiście w pełni podzielam takie stanowisko.

Pewien problem jednak jest i nie można pominąć go milczeniem. Ze szczególną siłą pojawił się kilka lat temu, kiedy rektor Uniwersytetu w Białymstoku, ze względów *stricte* finansowych, postanowił nie otwierać rekrutacji na filozofię – kierunek wyjątkowo deficytowy na tej uczelni. Decyzja ta wywołała falę protestów i dyskusję na forum ogólnopolskim, obejmującą wszystkie środowiska humanistyczne w kraju. W moim przekonaniu – podejmując takie bardzo trudne decyzje – należy kierować się przede wszystkim misją uniwersytetu, a uniwersytet nie jest przedsiębiorstwem dochodowym, które nastawione powinno być na zysk. Władze wszystkich uczelni wyższych – także my, rektorzy UAM – często zmagamy się z poważnym problemem, jaki stanowią koszty finansowania

tw. kierunków niszowych (a znajdują się one na wszystkich wydziałach, nie tylko humanistycznych), których prowadzenie nieodmiennie łączy się z deficytem. Jednak rolą uniwersytetu jest to, by utrzymywać oryginalne, niedochodowe kierunki studiów – taka jest wszak misja uczelni; rzecz tylko w tym, by znaleźć środki na bieżące regulowanie tego deficytu. Niedawna decentralizacja naszych uczelnianych finansów ciężar odpowiedzialności przeniosła na barki władz wydziałów i to od dziekanów teraz zależy, jakie dotychczasowe kierunki zdecydują się utrzymywać, a jakie nowe tworzyć. Jestem jednak optymistycznie nastawiony, ponieważ, mimo tej skomplikowanej i niełatwej decentralizacji, kilka wydziałów uruchomiło procedury związane z tworzeniem nowych kierunków studiów. Wydaje się, że naszemu uniwersytetowi nie grozi załamanie ani tąpnięcie finansowe, szczególnie że bilans naszej uczelni jest dodatni i dołożymy wszelkich starań, by taki pozostał.

Chciałbym podzielić się kilkoma refleksjami związanymi nie wprost z tematem konferencji, ale dotyczącymi funkcjonowania studiów doktoranckich – nie tylko na naszym uniwersytecie, ale w skali całego kraju. Moje kilkuletnie doświadczenie wynikające z pełnienia funkcji prorektora ds. kształcenia (wśród obowiązków którego jest nadzorowanie przebiegu studiów trzeciego stopnia) oraz z prowadzenia wykładu ogólnouniwersyteckiego na temat statusu prawnego doktoranta i modelu studiów doktoranckich w ogóle pozwoliło mi na dokonanie kilku ważnych obserwacji. Po pierwsze, kształcimy bardzo mało doktorantów. W Unii Europejskiej na 1000 mieszkańców w wieku od 24 do 30 lat średnia liczba doktorantów wynosi 1,5 osoby, w krajach skandynawskich, które są liderami w tym zakresie, ten wskaźnik wynosi aż 3 osoby, natomiast w Polsce – zaledwie 0,8 osoby. Kształcimy więc za mało doktorantów, chociaż w liczbach bezwzględnych rzecz przedstawia się trochę inaczej. W 1990 roku, kiedy we-

szła w życie ustawa Prawo o szkolnictwie wyższym, na mocy której w całym kraju ruszyły studia doktoranckie, doktorantów było nieco powyżej 2000, dziś jest ich już powyżej 40 000 – przez ostatnie 25 lat nastąpił więc znaczący wzrost, nie mniej wciąż gonimy Europę. Z pewnością wiąże się to z kwestią statusu polskiego doktoranta – w porównaniu z doktorantem z Francji czy z Niemiec, choćby tylko pod względem ekonomicznym, przepaść jest olbrzymia. Doktorant z Francji otrzymuje ok. 1700 euro miesięcznego stypendium, natomiast jakie są średnie kwoty stypendiów w Polsce – wszyscy wiemy. Druga niepokojąca kwestia to fakt, że studia doktoranckie w naszym kraju łatwo rozpocząć, trudniej jednak skończyć – świadczą o tym dane statystyczne. Od kilku lat spada procentowo liczba absolwentów studiów doktoranckich, czyli tych, którzy terminowo kończą te studia pracą doktorską. O ile jeszcze w „szczytowym” roku 2006 ten procent wynosił blisko 20, a zatem co piąty doktorant w Polsce wieńczył studia obroną dysertacji, to w roku 2013 już jedynie 12% doktorantów kończyło studia w regulaminowym czasie. Można by wyprowadzić z tego ogólną konkluzję, że doktoranci piszą prace wolniej, że rzadziej je bronią, co może też wskazywać, że cały system prowadzenia tych studiów ma istotne wady. Być może wyda się to zaskakujące, ale zawsze byłem zwolennikiem klasycznej asystentury. Sam zresztą zaczynałem swą drogę uniwersytecką od stanowiska asystenta – wtedy nikt nawet nie myślał o studiach doktoranckich, programach, obowiązkowych zajęciach czy innym formalizowaniu tego etapu naukowego. Obowiązywała nas rzetelna praca z mistrzem oraz udział w dydaktyce. Asystentura ma swoje ogromne zalety, ale w skali kraju obserwujemy niestety gwałtowny spadek liczby asystentów – w ostatnim pięcioleciu wyniósł on ok. 5000 etatów. Obecnie na polskich uniwersytetach i w jednostkach badawczych pracuje około 12 000 asystentów, lecz tendencja spadkowa pogłębia się i najpew-

niej już za kilka lat doprowadzi do całkowitego wygaszenia takiego stanowiska na uczelniach wyższych. Co się za tym kryje? Przede wszystkim względy finansowe, bowiem jak wiadomo doktoranci przynoszą uczelni do dotacji podstawowej pewien udział (trzy- bądź pięciokrotność kwoty przeznaczanej na studenta). Jest to jednak złudne – symulacje pokazują, że tak naprawdę na jednego doktoranta uczelnia otrzymuje ok. 7000 zł rocznie, co choćby w porównaniu z kosztami przewodu doktorskiego (ok. 15 000 zł) uwidacznia niewystarczalność tych dotacji. Konstatacja jest taka, że uniwersytet do studiów doktoranckich istotnie dopłaca – wymuszają to realia, w których żyjemy. Utrzymanie asystenta jest jednak jeszcze bardziej kosztowne, bo wiąże się z obciążeniami etatowymi. To niekorzystne zjawisko, gdyż asystentury dawały stabilizację, pozwalały spokojnie rozwijać się naukowo oraz bez nadmiernego pośpiechu pracować nad dysertacją – trwały przecież 8 lat, a nie 4, jak studia doktoranckie. Asystentury umożliwiały zbudowanie nici lojalności z uczelnią, a przede wszystkim dawały większości osób perspektywę stałego zatrudnienia po obronie pracy doktorskiej. Obecnie doktoranci nie mają takiej stabilności, co więcej, nie mają nawet określonego statusu prawnego – nie są wszak ani pracownikami, ani studentami; ustawodawca zdecydowanie powinien ów status doktoranta uregulować.

Pomimo tych krytycznych uwag, które przed chwilą wyłożyłem, chciałbym zapewnić, że będziemy starali się chronić i stale usprawniać studia doktoranckie. W skali kraju uchodzimy za jedną z najbardziej prodoktoranckich uczelni – przez cztery lata miałem przyjemność odbierać nagrodę za pierwsze miejsce w rankingu, który przeprowadzany jest przez Krajową Reprezentację Doktorantów. W porównaniu z innymi znakomitymi uniwersytetami – Uniwersytetem Warszawskim i Uniwersytetem Jagiellońskim, w których nie więcej niż 27% doktorantów otrzymuje stypendia, nasz uniwersytet zdecydowanie się

wyróżnia, gdyż stypendia pobiera blisko 70% doktorantów. Z pewnością to wciąż jest za mało w stosunku do potrzeb, ale niewątpliwie jesteśmy w ogólnopolskiej czołówce i dołożymy wszelkich starań, by w niej pozostać. Kończę zatem pozytywnym akcentem i życzę interesujących oraz owocnych dyskusji.

Krzysztof Krasowski